

Dr. ALEKSANDER CZOŁOWSKI

Jak to było we Lwowie?

Odpowiedź

prof. Stanisławowi Grabskiemu.

LWÓW

**Przedruk z petersburskiego „Dziennika Narodowego“
1918.**

Dr. ALEKSANDER CZOŁOWSKI

Jak to było we Lwowie?

Odpowiedź

prof. Stanisławowi Grabskiemu

LWÓW

Przedruk z petersburskiego „Dziennika Narodowego”
1918.

723a2

Z drukarni W. A. Szyjrowskiego, Zimorowicza 14.

518498

II

k-20/8311
8.8/40



Rusofilska polityka, jaką jawnie, w czasie inwazji, zainaugurował we Lwowie p. St. Grabski i towarzysze — nie pozostała bez wpływu na społeczeństwo polskie w Rosji. Panowie owi znalazłszy się z konieczności po tamtej stronie frontu, uważali za swój obowiązek propagować ją dalej słowem i pismem we wszystkich centrach życia polskiej emigracji. Propaganda wydała owoce. Ogół społeczeństwa polskiego, nie znający naszych stosunków, słysząc i czytając tylko hasła głoszone przez „polityków lwowskich“, przeciw którym wszelki protest za rządów carskich, był niemożliwy i niebezpieczny — wyrobił sobie przedewszystkiem najfałszywszą opinię o Galicji. Zaczął ją uważać za kraj par excellence rusofilski, dla którego odwrót Rosjan „oswobodzicieli“ był klęską narodową!

Opinia ta, podsycana nienawiścią ku państwu centralnym, utrzymywała się coraz silniej.

Gdy z wybuchem rewolucji zmienił się stan rzeczy w Rosji i bez obawy można było zabrać głos — odważyłem się na to pierwszy, aby zaprotestować przeciw nikczemnej robocie, zde-maskować ją publicznie, wskazać na jej źródło, taktykę i cel. Uczyniłem to najpierw w Kijowie, na wielkim zjeździe Polaków wojskowych połud.-zachodniego frontu (w maju 1917), a następnie w odczycie w Petersburgu.

P. Grabski, zaskoczony tą niespodzianką, wystąpił przeciw mnie z całą gwałtownością. W odpowiedzi napisałem szereg artykułów, które ogłosił petersburski „Dziennik Narodowy“ z dnia 3 do 5 września 1917, a powtórzyły: moskiewskie „Echo Polskie“ i kijowska „Gazeta Narodowa“.

Artykuły owe nie pozostały bez następstw. Otworzyły one wielu oczy i przyczyniły się do zorientowania opinii polskiej na emigracji, na co mnóstwo miałem dowodów.

Do chwili mego wyjazdu z Petersburga t. j. do dnia 17 grudnia 1917, nie doczekałem się ze strony p. Grabskiego żadnej odpowiedzi. Oczekiwano jej z ciekawością, lecz wielki augur „narodowej“ polityki, uznał widocznie za lepsze pokryć milczeniem — drażliwą przeszłość.

Dla wiadomości naszego społeczeństwa, któremu artykuły te są nieznane, a zarazem jako dokument dla przyszłości. ogłaszam je tu ponownie z niektórymi dodatkami.

We Lwowie, 20 stycznia 1918.



I.

Odczyt mój wygłoszony w Petersburgu dnia 4. lipca 1917. na zebraniu Klubu Demokratycznego p. t. „Lwów w czasie okupacji“ — wyprowadził z równowagi panów, którzy zmuszeni byli w roku 1915 uciekać ze Lwowa do Rosji i tu z pozą męczenników politycznych przyzwyczaili się „reprezentować“ Galicję, przemawiać w jej imieniu, wydawać opinię w jej sprawach, narzucać się na jej opiekunów i na „kierowników polskiej polityki“ w ogóle.

Przed rewolucją mogło to im się udawać bezkarnie, bo będąc sojusznikami starego rządu z łatwością mogli zgnieść każdą krytykę lub opozycję. Dzisiaj jednak kiedy rewolucyjna Rosja obaliła despotyczny carat z całym jego policyjno-żandarmskim aparatem, gdy uznała niepodległość powstającej Polski, gdy wszystkim ludom swoim zapewniła wolność i swobodę słowa — nie wolno dalej milczeć tym, którzy z bliska patrzyli na działalność owych panów. Należy bez ogródek odsłonić bodaj część — otwarcie rzecz nazwać po imieniu.

Mówiąc o tem, co w czasie okupacji przeżywał Lwów, nie mogłem pominąć mil-

czeniu wybitnej roli, jaką w nim odegrała wówczas narodowa demokracja z prof. Stanisławem Grabskim na czele, bo ta rola była poniekąd tłem politycznego nastroju Galicji. Nie miałem w tem na celu ani załatwiania jakichś rachunków politycznych, bo do polityki nigdy się nie mieszałem, ani chęci dokuczenia p. Grabskiemu. Wymagał ten przedmiot odczytu i ścisłość historyczna wypadków.

Sam jednak fakt, że ktoś ośmielił się odśłonić rąbek nie wszystkim znanej działalności owych panów i narazić ją na krytykę — wystarcza, aby w ich oczach popełnić „zbrodnię narodową“ i być przez nich napiętnowanym mianem kalumniatora, germanofila, austriaka polskiej narodowości, wroga koalicji i t. d.

Stała to i oddawna dobrze znana taktyka narodowej demokracji. Taktyka bezwątpienia najłatwiejsza i najwygodniejsza, bo wielu nie wiedzących o co chodzi — uwierzy im na ślepo. W tym celu do tej taktyki uciekł się i p. Grabski w liście otwartym, wydrukowanym z powodu mego odczytu w Nr. 169 moskiewskiej „Gazety polskiej“, a powtórzonym w rzymskiej podlewie w petrogradzkim „Dzienniku Polskim“.

P. Grabski, występując w obronie „kierunku, który reprezentuje“, zamiast wyjaśnić społeczeństwu polskiemu zagadkę zarzuconego mu kuglarstwa politycznego i podać powody dwulicowej działalności stronnictwa w sierpniu 1914 r. i w czasie okupacji Lwowa, z wykrzykami:

napaść, oszczerstwo, kalumnia, wykręca się sianem od tej kwestji w ten sposób, że w steku frazesów i przekręceń, zwraca swą „odповідź“ w zupełnie innym obojętnym kierunku. Oto z jednej strony podkreśla, jakie przykrości przechodził na polu publicznem, jak przed wojną pewne dzienniki napadały go i posądzały o carofilstwo, żądały uwięzienia i t. d., z drugiej strony ucieka się do samochwalstwa i wylicza swoje „zasługi i zabiegi“ w zakresie humanitarnym i aprowizacyjnym, na dowód, jak się poświęcał dla Lwowa i zawojowanej Galicji.

Co więcej dla zamydlenia oczu i wywołania nastroju — każe mnie poczuwać się do wdzięczności, a tem samem milczeć, bo na jego „zaręczenie“ zostałem „uwolniony z aresztu rosyjskiego“, bo „nie pytał się o niczyją orjentację, gdy trzeba było od krzywdy ratować“

W istocie 20 maja 1915 roku wskutek donosu, płatnego przez ochronę, indywiduum; żandarmerja rosyjska zaaresztowała mnie i bez przesłuchania i podania powodów jako podejrzanego o austrofilstwo wraz z innymi obywatelami skazała na wywiezienie do Jenisejskiej gubernji. Dzięki jednak zabiegom prezydenta d-ra Rutowskiego i prof. Szmurły, delegata petrogradzkiej akademji nauk, zostałem już z wagonu wypuszczony na wolność. Żeby to uwolnienie było dziełem „poręki“ p. Grabskiego, ze zdumieniem dowiedziałem się o tem po raz pierwszy z jego otwartego listu, przeczę temu stanowczo, a rzekomo głoszoną przezemnie

z tego powodu opinię o jego wpływach, piętnuję jako proste kłamstwo. Jeżeli zaś p. Grabski swoje bliskie stosunki z władzami okupacyjnymi zestawia z tem. że i ja również z p. Czichaczewem objeżdżałem Galicję, to między nami jest zasadnicza różnica. Moje jazdy miały na celu ratowanie zabytków polskiej kultury od tych zakusów, które on słowem i czynem chciał utrwalić w Galicji.

Nie w urojonych czy prawdziwych zabiegach lub zasługach p. Grabskiego w tej lub owej sprawie leży sedno rzeczy, nie w tem, czy i dla czego p. Grabski wyczekiwał godzinami w przedpokojach gubernatorów i gradonaczelników, a nawet nie w krytyce jego orientacji, ale w poznaniu i rozwiązaniu zagadki, jakimi drogami ta orientacja chadzała, nim się skryształizowała w „zdecydowanie antyniemieckie, koalicyjne stanowisko“ i to było jednym z szczegółów mego odczytu.

„Dziennik Petrogradzki“ podał go w streszczeniu w Nr. 1990, obecnie jednak wobec gołosłownego zarzutu, że rzuciłem kalumnję „przeciwko człowiekowi pracującemu na polu publicznem“, pragnę, aby każdy poznał bliżej i osądził te „kalumnje“, więc raz jeszcze powtórzę je, ale dokładniej niż w odczycie.

II.

Jak wiadomo, z chwilą wybuchu wojny: społeczeństwo polskie w Galicji musiało zająć

określone stanowisko wobec stron wojujących, zdobyć się wobec nich na czyn stanowczy.

Zdawało się to nie tak łatwem.

Wojna zastała społeczeństwo polskie podzielone na szereg stronnictw, zwalczających się wzajemnie. Wśród tych stronnictw jednym z najsilniejszych było stronnictwo narodowo-demokratyczne. Dzięki swej organizacji i ruchliwości, dzięki hojnie rzucanym hasłom patriotycznym, które chwyciły za serce mniej krytycznie myślących, stronnictwo to umiało uzyskać znaczny wpływ w szerokich warstwach, a zwłaszcza w urzędniczej, wierzącej ślepo w ideowość i uczciwość swych przewódców. Agresywna, nie przebiegająca w środkach taktyka stronnictwa, wywoływała przeciw niemu coraz silniejszą reakcję. Zarzucano narodowej demokracji, że patriotyzm uważa za swój monopol, że jedność narodową uznaje tylko pod swoją komendą, że zawsze i wszędzie ma przede wszystkim swój partyjny interes na względzie, a co najważniejsze, że w polityce swej uprawia kierunek rusofilski, że ciąży ku despotycznej Rosji i nierównomiernie traktuje nasze położenie pod berłem caratu w przeciwstawieniu do Prus. Stronnictwo jednak umiało zawsze sprytnie usprawiedliwić się z tego zarzutu.

Z wybuchem wojny, jedną z pierwszych trosk społeczeństwa galicyjskiego było pytanie, jakie stanowisko zajmie narodowa demokracja. Na odpowiedź nie można było długo czekać,

bo czas nagił. Wbrew obawom rezultat przeszedł oczekiwania.

W połowie sierpnia 1914 roku zebrali się w Krakowie reprezentanci wszystkich stronnictw galicyjskich. Po gorących rozprawach dnia 16 sierpnia wśród podniosłego nastroju przyszła do skutku wzajemna zgoda. Uznano partyjne orientacje i organizacje za nieistniejące i wybrano delegację narodową ponadpartyjną pod nazwą „Naczelnego Komitetu Narodowego“.

Do Komitetu tego weszli przedstawiciele wszystkich stronnictw galicyjskich. Wszedł też prof. St. Grabski, hr. Skarbek i inni.

Uchwalono jako jedyną, wytyczną orientację — czynne poparcie konstytucyjnej Austrii przeciw despotycznemu caratowi przez tworzenie polskich legionów pod hasłem niepodległości Polski.

Uchwała ta nie była wpływem jakichś uczuć austro- lub germanofilskich, lecz naturalnym odruchem społeczeństwa, które wierzyło, że tylko rozgromienie caratu może dać Polsce wolność. Nie była też wpływem jakiejś nienawiści ku ludowi rosyjskiemu, który na równi z Polską sam cierpiał pod despotyzmem carskim, a wzmocnienie caratu mogło tylko spotęgować te cierpienia. Więc siłą faktów odżywało stare hasło „za naszą i waszą wolność“.

Z drugiej strony — interes narodowy kazał wierzyć w urzeczywistnienie polskich, nieprzedawnionych praw i aspiracji ze strony tego państwa, które od pół wieku dało Polakom

w Galicji pełne równouprawnienie, w którego rządzie brali czynny udział i mogli wpływać na kierunek jego polityki. Galicja była jedyną ostoją, gdzie w ostatnich czasach, polskość mogła się rozwijać, a duch narodowy mógł się wzmacniać. Kraków i Lwów stały się ogniskami życia polskiego. Tu promieniowała nadzieja lepszej przyszłości...

Na tej platformie orientacyjnej Naczelny Komitet Narodowy rozpoczął swą działalność wzywając naród do walki z odwiecznym wrogiem Polski — caratem i do tworzenia w tym celu polskich legionów, do zbierania potrzebnych funduszy etc.

Dla szybszej i energiczniejszej akcji podzielono kraj na dwie sekcje: krakowską i lwowską. Kierownictwo ostatniej i zaszczytną misję tworzenia legionu wschodnio-galicyskiego powierzono z całym zaufaniem prawie wyłącznie reprezentantom narodowej demokracji: T. Cieńskiemu, prof. Kasznicy, hr. A. Skarbkowi, i S. Grabskiemu.

Na wieść o zgodzie i zjednoczeniu stronnictw, zapał ogarnął cały kraj, jedna myśl ożywiła wszystkich, optymistyczny nastrój zapanował wszędzie.

Pod okiem pp. Grabskiego i hr. Skarbka rozpoczęła się natychmiast gorączkowa praca tworzenia owego legionu. Z radością i dumą patrzył Lwów na coraz liczniejsze zastępy ćwiczącej młodzieży. Na ręce panów z narodowej demokracji sypały się składki. Każdy dawał co

mógł — pieniądze i kosztowności. Rada m. uchwałała półtora miliona koron jako dar narodowy na legiony. Organ narodowej demokracji „Słowo Polskie“ przesadzało się w patriotycznych „austrofiłskich“ enuncyacjach i piorunujących artykułach przeciw despotycznemu caratowi, nawoływało do organizacji, do czynu, do poświęceń! Wobec tego uwierzyli wszyscy, że stronnictwo działa szczerze, że wszelkie poprzednie podejrzenia o ruso- czy carofilstwo były bezpodstawne i cieszo się z tego ogólnie.

Tak to w owym czasie wyglądało „zdecydowanie antyniemieckie. koalicyjne stanowisko“ p. Grabskiego i „jego kierunku“.

Któż mógł wtedy przypuszczać, że to wszystko było tylko wstrętną komedią, odegraną wobec własnego społeczeństwa, na to, aby jego akcję tem skuteczniej potem paraliżować, a tymczasem uśpić podejrzliwość nie tylko władz austriackich, ale i własnego społeczeństwa.

Wypadki następne odstąpiły to w całej pełni.

III.

Dnia 3 września n. st. 1914 r. Lwów został zajęty przez wojska rosyjskie i aż do dnia 22 czerwca 1915 r. pozostawał pod „opieką“ administracji rosyjskiej.

Co w tym czasie, żyjąc pod ciągłą grozą, wycierpiał ze strony wszechwładnej policji, żandarmerji i ochrony, złożonych z szumowin

wszelkiego rodzaju — długo i szeroko możnaby o tem rozprawiać. Cierpienia te jednak błędną wobec cierpień moralnych, na jakie każdego dnia był narażony ze strony, z której się najmniej spodziewał. bo ze strony własnych rodaków, grupujących się wokoło p. St. Grabskiego i Z. Wasilewskiego.

Większość tych panów została z nimi we Lwowie i jakież było zdziwienie, gdy przybywające władze rosyjskie zwróciły się do nich odrazu, jakby do starych, życzliwych znajomych.

Na rezultaty nie czekano długo.

Już następnego dnia po zajęciu miasta cenzura wojenna pozwoliła na wydawnictwo jedynej na razie gazety polskiej. Było nią „Słowo Polskie“. Ze zdumieniem czytał je Lwów i oczom nie wierzył. To samo „Słowo Polskie“, które dzień przedtem występowało energicznie pod hasłem walki przeciw despotycznemu caratowi — nagle, przez jedną noc, zmieniło stanowisko w kierunku wręcz przeciwnym. Podając odezwę naczelnego wodza, z nietajoną radością witało zwycięzców i dowodziło, że cała dotychczasowa orientacja i akcja Galicji była tylko „oficjalnym szaleństwem“, narzuconym jej przez niepowołanych.

Po tej wiekopomnej metamorfozie, w następnych numerach, w miarę posuwania się armii rosyjskiej, coraz wyraźniej, coraz dobitniej krystalizowało się hasło, że teraz należy iść wspólnie tylko z caratem przeciw państwu centralnym, bo tylko carat może zjednoczyć

Polskę i dać jej autonomję! I hasło to, jak nieć czerwona, przewija się przez cały czas okupacji we wszystkich numerach „Słowa Polskiego“, któremu głównych artykułów dostarczał p. Grabski.

Gdybym je tu mógł mieć i zacytować szereg tych artykułów, przekonałby się każdy, z jakim cynizmem, upodleniem i schlebaniem się caratowi na różne tony były pisane, jak w nich dla przypodobania się władzom okupacyjnym wyśmiewano dotychczasową polską politykę i orientację w Galicji, jak zohydzano legiony, odsądzono od czci i wiary Piłsudskiego, jak naigrywano się z klęsk austriackich, a nawet z jeńców prowadzonych z Karpat wśród śnieżnych zawiei, równocześnie zaś jak z lekkim sercem godzono się na wszelkie zarządzenia russyfikacyjne, jak oddawano na łup russyfikacji Galicję Wschodnią z jej sześciowiekową kulturą polską, a przeciw gwałtom i nadużyciom administracji nie miano słowa protestu! Dla poskromienia inaczej myślących nie wahano się „żywać“ nawet groźb i denuncjacji jak n. p. przeciw lwowskim OO. Jezuitom.

O niepodległości Polski — nie wspomniano ani razu.

W nagrodę za tę bezgraniczną „łojalność“. cenzura rosyjska stawiała „Słowo poskie“ za wzór innym dziennikom, jak mają pisać, aby uniknąć represji lub zawieszenia.

Dzięki „Słowu Polskiemu“ i p. Grabskiemu Lwów na zewnątrz zyskał najfałszywszą opinię,

miasta zadowolonego z okupacji i zupełnie carofilskiego. Smutne to, ale prawdziwe!...

W rzędzie moralnych ciosów, na jakie codziennie był narażony, jednym z najboleśniej-szych była odezwa ogłoszona w listopadzie 1914 r. przez „Słowo Polskie“, a podpisana przez dwadzieścia kilka osób, które dały się wziąć na lep „wszystko przewidującej“ polityki i agitacji p. Grabskiego. Grupa ta, narzucając swoje zapatrywanie, podawała do publicznej wiadomości, że uznała formowanie i istnienie legionów za niewskazane, wskutek czego legion wschodnio-galicyski został rozwiązany, że wogóle tworzenie legionów było krokiem nierozważnym, niepolitycznym, że podpisani panowie zrzucają z siebie wszelką odpowiedzialność i wypierają się całej legionowej roboty, jako nie ich dzieła!

Odezwa była rezultatem zabiegów pana Grabskiego, który w rozwiązaniu owego legionu widział największy swój tryumf. Nikomu nie było teraz tajem, że przygotowywał go od dawna, bo już z utworzeniem legionu, pracowano tajemnie nad jego rozkładem, wnosząc w szeregi młodzieży politykę, która ułatwiła dopięcie celu.

Sześciotysięczny legion wschodnio-galicyski, złożony z drużyn sokolich, strzeleckich i bartosзовych, które z hr. Skarbkiem przed okupacją wyszły ze Lwowa dla dalszej organizacji, został w istocie w Mszanie Dolnej (koło Nowego Sącza) rozwiązany. Za bezpośredni

powód posłużyła formułka przysięgi, jaką miał złożyć na imię cesarza Franciszka Józefa I.

Faktem tym zagrano boleśnie na nerwach Lwowa. Więc to, na co tak niedawno z taką dumą się patrzył, na co poświęcał swych synów i łożył ofiary, na czem opierał nadzieje — zostało zniszczone, znieważone, oplwane i to właśnie przez tych, którzy brali główny udział w tem dziele, którzy sami podjęli się jego wykonania. Boleść była tem większa, że młodzież legjonu, jak wkrótce potem doszły wiadomości i relacje świadków, o ile nie została wcielona do wojska austriackiego, została zmarnowana, rzucona na pastwę losu i najsmutniejsze przechodziła koleje.

Za te „chwilowe“ przykrości kazał nam p. Grabski wierzyć w spełnienie odezwy naczelnego wodza, z jej autonomją, jako szczytem łaski „życzliwego caratu“, kazał wierzyć, chociaż nie był wówczas polskim ministrem dla spraw zagranicznych, lecz tylko — jak to wogóle we Lwowie określano, „czynownikiem generał-gubernatora do szczególnych poruczeń“.

Dla wzmocnienia tej wiary i „pouczenia w naszej bezradności“, przybywali do Lwowa różni „działacze narodowi“ z nadnewskiej stolicy, lecz przyjazd każdego z nich, zamiast pokrzepienia wywoływał tylko depresję. Z małymi bowiem wyjątkami panowie ci, co „za wzięcie Lwowa“ na złote składali się szable, jedną tylko mieli dla nas radę: „pogódźcie się z losem, bo sprawa polska w Galicji Wschodniej

przepadła na zawsze, ale zato w „zjednoczonej“ Polsce będzie „autonomja“, a uniwersytet lwowski przeniesie się do Warszawy!“

Gdzie miała się ta Polska na wschodzie zaczynać, tego żaden z tych panów nie umiał określić, działacze jednak rosyjscy we Lwowie zapewniali nas, że za *Dunajcom wsio budżet polskie* i kpili z odezwy Mikołaja Mikołajewicza, z naiwności i łatwowierności Polaków!

Tymczasem społeczeństwo polskie w Galicji, wychowane w tradycjach walk niepodległościowych Królestwa Polskiego przeciw caratowi, znające dobrze tradycje Sybiru, okropności więzień rosyjskich, lasy szubienic, konfiskaty majątków, niszczenie dobra narodowego, gospodarkę czynowników i inne krzywdy bez liku — nie mogło wprost pojąć, jak ten sam carat, kat swoich ludów, odwieczny wróg Polski, może być teraz jedynym jej zbawcą. W jaki sposób obiecywana „autonomja“ w Polsce „zjednoczonej“ t. j. powiększonej o kilka nowych rosyjskich guberni, utworzonych, w razie nieprawdopodobnej klęski państw centralnych, z niemieckiego zaboru i z części Galicji — mogłaby być tem najwyższem szczęściem narodu, spełnieniem marzeń naszych dziadów“! Autonomja, która w najlepszym razie byłaby jeszcze parodią tej, jaką oddawna mieliśmy w Galicji.

Wobec tego nastroju, cała carsławna propaganda „Słowa Polskiego“ nietylko nie odniosła pożądanego rezultatu, ale swoją napastliwość wywołała bezgraniczne rozgoryczenie

i oburzenie we wszystkich warstwach ludności, co więcej obok nadużyć administracyi, przyczyniła się niemało do zupełnego podkopania wiary w uczciwość dróg polityki rosyjskiej do zjednania sobie Polaków. Nie pozostała bez wpływu i dla samego stronnictwa. Rozpoczęła się masowa dezercja z szeregów narodowej demokracji, zaczynając od najpoważniejszych, długoletnich jej działaczy. Poznawszy drogi i cele „roboty“ swoich dotychczasowych kierowników, ze wstydem wyrzekali się ich i odsuwali jak najdalej. W końcu doszło do tego, że wokoło p. Grabskiego i „jego kierunku“, pozostała garstka, związana więcej zależnością materialną, niż solidarnością ideową.

Atmosfera polityczna stała się nieznośną, lecz milczano zaciskając zęby. Jedyną otuchą wszystkich była niezachwiana wiara, że to stan przejściowy, że skończyć się musi i tak się stało.

Wypadki wojenne przybrały nowy obrót.

IV.

Z końcem maja 1915 r. nieustanny huk dział, coraz wyraźniej, coraz bliżej dolatywał do miasta. W huk ten, znękana ludność, wsłuchiwała się jak w najpiękniejszą muzykę, bo on niósł jej nadzieję rychłego uwolnienia, nie tylko od carskiej policyi, żandarmeryi i ochrony, ale i od p. Grabskiego i „jego kierunku“. Nikt

nie wątpił, że panowie ci opuszczą miasto, bo liczą się więcej ze wzburzeniem jego mieszkańców, niż z władzami austriackimi i urojonemi „listami proskrypcyjnymi“.

W istocie 19 czerwca sztab endecki bojąc się zbyt doraźnego sądu opinii publicznej, spakował manatki i z całą swoją grupą opuścił Lwów, pełen nadziei, że wkrótce z tryumfem powróci napowrót. Równocześnie „Słowo Polskie“ pożegnało go oświadczeniem, że narazie „kończy kampanię“, ale poleca pamięci swoją „linję orjentacyjną“ na ten „czas przejściowy“.

Przed opuszczeniem Lwowa, sztab endecki, „na pożegnanie“ ostatnią jeszcze wypłatał miastu sztukę, co więcej dotkliwą po sobie zostawił mu pamiątkę.

Panom „uciekiniernom“ trzeba było mieć w zapasie jakiś powód, któryby później, na wszelki wypadek, mógł służyć za pokrywkę do usprawiedliwienia wyjazdu. Wymyślono go na poczekaniu.

Kilka dni przed ich wyjazdem generał-gubernator wydał obwieszczenie o zamierzonej ewakuacji poborowych w wieku 18 do 50 lat. „Słowo Polskie“ korzystając z niejasnej stylizacji tego obwieszczenia, objaśniło je zdenerwowanej publiczności tłustym drukiem jako „rozkaz wyjazdu“, który należy bezzwłocznie wykonać, bo w przeciwnym razie wszyscy zostaną przymocowani do murów.

Rozkazu takiego, jak urzędownie stwierdzono, nie było. Było tylko podaniem do wia-

domości, że gubernator „proponuje“ wyjeżdżać i dla chcących wyjechać na własny koszt (prócz żydów) będą przez trzy dni oznaczone pociągi do dyspozycji.

Artykuł zrobił swoje. Wywołał „sztuczną panikę“, której uległo mnóstwo inteligentnych ludzi, różnych obozów politycznych. Kto nie zasięgnął informacji w ratuszu i nie zbadał stanu rzeczy, ten ogarnięty paniką, co rychlej wsiadał na pociąg i wyjeżdżał do Rosji. „Słowo Polskie“ z zadowoleniem konstatoowało ten fakt, zachęcało do brania przepustek, podawało informacje, gdzie i jak należy się o nie starać. Stąd to, te setki młodych lwowskich ludzi, których dziś musi „gościć“ Rosja, a którzy ciężko walczą z losem lub są ciężarem różnych komitetów — to przeważnie ofiary owej „sztucznej paniki“, wywołanej przez „Słowo Polskie“. Wielka liczba opuszczających Lwów miała być zarazem dowodem, jak silnym był w nim carofilski prąd, jak licznych sympatyków do końca, miała w nim narodowa demokracja!

W tym czasie musieli opuścić Lwów i inni jeszcze, lecz nie dobrowolnie, ani moralnie do tego zmuszeni. Byli nimi t. zw. „zakładnicy“, wzięci przez policję w liczbie czterdziestu, razem z prezydentem miasta dr. Rutowskim i obu jego zastępcami. Wyrwano nas w nocy (19 czerwca) z grona rozpaczających rodzin, aresztowano, wsadzono do wagonów towarowych i po czterech dniach jazdy, pod eskortą, przywieziono do Kijowa i osadzono w „polskim

aresztanckim domu“. Że tu nie przeżyliśmy tych wszystkich okropności, co tysiące innych w różnych więzieniach — jest wyłączną zasługą kijowskiego oddziału P. T. P. O. W.*) i grona zacnych pań kijowskich, za co dożgonną zachowamy wdzięczność. Po dwumiesięcznem internowaniu w aresztach z setkami innych — Żydów wysłano do Niżnego Nowogrodu, Polaków zaś i Rusinów wypuszczono na wolność“ z obowiązkiem codziennego jawienia się na policyi i przestrzegano tego ściśle aż do wybuchu rewolucji, która zabranie nas nazwała „hańbą Rosji“ i zwolniła z pod dozoru policyi.

O tem, żeby tym zakładnikom, z których wielu wzięto tak, jak ich zastano, dać jakieś utrzymanie, o tem stary rząd zupełnie nie myślał a nowy nie pamięta. Ale natomiast obok opieki policyi stary rząd oddał nas jeszcze „pod opiekę“ pana Grabskiego i jego osławionego „Lwowskiego Komitetu ratunkowego“. Przeciw temu jednak z małymi wyjątkami, zaprotestowaliśmy stanowczo i nigdy nie uznawaliśmy tej opieki. Nie chcieliśmy bowiem mieć nic wspólnego z komitetem, który powstał i istniał z funduszów carskiego rządu (60 tys. rubli miesięcznie), głównie jako asylum i *panis bene merentium* dla p. Grabskiego i jego sztabu. Nie mówiąc już o chaosie, jaki wywołało założenie tego komitetu w akcji ratunkowej miejscowych kijowskich komitetów, komitet ów, ratując

*) Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny.

przedewszystkiem „swoich ludzi“, stał się ex-pozyturą skrajnej rusofilskiej orientacji i agitacji, budzącej zdziwienie i obrzydzenie nawet u rosyjskich Polaków. Nie chcieliśmy podlegać komitetowi, który wysiedleńcom galicyjskim wydawał świadectwa prawomyślności (*blagonadjożnosti*) dla policji rosyjskiej i uważał za swój obowiązek „reprezentować“ Lwów i Galicję na wszystkich zjazdach czeskich, serbskich, angielskich, francuskich i włoskich jako sojusznik koalicji, a którego każde powodzenie rosyjskie wprawiało w szal radości, podniecało pragnienie powrotu do Lwowa razem z „zwyćskimi“ wojskami rosyjskimi i t. d.*)

*) W lwowskim *Tygodniku Narodowym* Nr. 1 z 1918 r. p. dr. L. Stahl ogłosił rodzaj sprawozdania gloryfikującego działalność tego komitetu i swoją osobistą. Podziwiam odwagę, ale nie wiem, czy większość panów, których wymienił po nazwisku, jako „zasłużonych“ działaczy tego komitetu będzie mu za to wdzięczną, bo nie znający odwrotnej strony tej działalności, mogą się nią zachwycać, ale nie ci, którzy od początku obserwowali ją z bliska, którym ona niejedną zatrzała chwilę niewoli z powodów wyżej podanych.

Nie wdając się w szczegółową krytykę owego sprawozdania, nie mogę pominąć milczeniem twierdzenia p. S., jakoby swoją interwencją, jako wiceprezes tego komitetu, uratował nas, zakładników, od wysyłki na Sybir. W istocie zapowiadano nam ją w listopadzie 1915 r., ale, że do tego nie doszło, było to zasługą nie p. S., ale nas samych dzięki łapówce kilkudziesięciu rubli, danych narazie odnośnemu urzędnikowi policyjnemu, a następnie naszemu telegramowi, przychylnie załatwionemu przez Główną Kwaterę Opieki p. S. i jego Komitetu, nie tylko nie potrzebowałimy, ale wręcz wyprosiłimy ją sobie raz na zawsze i oświadczyliśmy mu to dobitnie przez delegację, w której brałem udział. Byliśmy zdecydowani raczej być wysłanymi choćby do Jakucka, niż prosić o cokolwiek

Stwierdzić należy, że w liczbie owych czterdziestu, wzięto tylko dwóch narodowych demokratów, z których jeden ze względów przyzwoitości nie mógł być pominięty, co do wywiezienia drugiego — różne były słuchy.

Branie zakładników przy wkraczaniu do zajmowanej miejscowości — jest poniekąd usprawiedliwione, ale zabieranie ich przy odstępowaniu — było czemś niezwykłym, wyjątkowym, niezrozumiałem nawet dla władz rosyjskich. Dlaczego i w jakim celu to uczyniono, nie tylko we Lwowie, ale w wielu miejscowościach Galicji, dlaczego tych zakładników dotąd jeszcze trzymają, o tem chyba pp. Grabski i Dudykiewicz przy swoich stosunkach i zasługach, najlepszą mogliby dać odpowiedź. Czynownicy bowiem rosyjscy nie robili przedemną tajemnicy, iż stało się to nie bez udziału wymienionych panów. Byliśmy w istocie ich zakładnikami, którzy tak długo nie mieli wrócić do kraju na wypadek wygranej państw centralnych, aż panowie owi otrzymają amnestję. Szczęściem dla nas, że rewolucja pokrzyżowała

„Lwowski Komitet ratunkowy“, który uważaliśmy za hańbę Lwowa. Byliśmy przytem w tem szczęśliwym położeniu, że otrzymując dzięki prezydentowi Rutowskiemu po 120 rubli miesięcznie z banków lwowskich wywiezionych do Rosji, nie potrzebowaliśmy niczyjej pomocy, a tem mniej owego komitetu, co bardzo było mu nie po jego myśli.

Z p. Stahlem stykaliśmy się jako z b. wiceprezydentem miasta, ale nie jako z wiceprezesem Lwowskiego Komitetu. Jako taki nie istniał dla nas. Co więcej zwracaliśmy mu uwagę, aby przestał nim być.

szlachetne i misterne zamiary lwowskich „ideowców“.

Zamiast biadać nad austriackimi represjami, mógłby nam także p. Grabski powiedzieć, po co i dlaczego poza zakładnikami wysłano ze Lwowa i z całego kraju na Sybir dziesiątki tysięcy ludzi i to dziwnym trafem wielu wyłącznie takich, którzy występowali przeciw „kierunkowi“ narodowo-demokratycznemu, lub też znanych z tego, że się na ten kierunek nie godzili?

Może nam też p. Grabski przy swoich urzędowych stosunkach z ówczesnymi władcami Galicji — będzie mógł powiedzieć, dlaczego dwaj redaktorowie polscy (pp. Tranda i Szydłowski), wysłani między owemi tysiącami na Sybir, byli redaktorami właśnie owej „Gazety Wieczornej“, która, jak na to sam gorzko się żali, prowadziła kampanję przeciw jego osobie?

Idźmy jednak dalej.

V.

Co skłoniło p. Grabskiego i „jego kierunek“ do opisanego salto-mortale z wszystkimi towarzyszącymi objawami — nad tem już w czasie okupacji Lwowa, nieustannie łamano sobie głowy.

„Obłąd to czy walenrodyzm lub prowokatorstwo? — pytano się wzajemnie.

Nie brakło z początku takich, którzy szukali motywów do usprawiedliwienia tego kroku. Jedni usprawiedliwiali go „omyłką“ polityka-ideowca, zahypnotyzowanego odezwą naczelnego wodza, lecz działającego w dobrej wierze. Inni widzieli w tem chwilowy manewr, mający na celu możliwość obrony zagrożonych interesów polskich, lecz gdy rzeczy za daleko zaszły, gdy przemieniły się w stan chroniczny, przekonano się, że nie była to omyłka ani manewr, ale z góry uplanowana, świadoma celu akcja. Widziano, że owa obrona interesów polskich dotyczyła jednostek blisko związanych z narodową demokracją, a zagrożonych „niebacznie“ karą pieniężną lub aresztem. tymczasem zaś setki innych najpoważniejszych obywateli więziono, katowano, wysyłano etapami na Sybir w warunkach jak najokropniejszych. O nich p. Grabski wcale się nie troszczył. Wiele mógłbym na to przytoczyć przykładów.

Co do innych „zabiegów“, któremi pan Grabski się chełpi — nader charakterystycznym jest jego własne przyznanie, że już po odezwie naczelnego wodza, tak entuzjazmującej go i pod niebiosą wychwalonej przez „Słowo Polskie“, musiał dopiero „starać się“ i to, jak wiemy, bez skutku o uznanie języka polskiego „przynajmniej“ w czysto polskich powiatach Galicji zachodniej! Prawda, była jeszcze inna wielka „zdobycz narodowa“ zabiegów p. Grabskiego, którą zapomniał się teraz pochwalić. Wszak publicznie zapewniał, że w tejże Galicji zachodniej —



risum teneatis — mieli Polacy być nawet „zastępcami naczelników powiatowych“ i że jemu polecono ich wyszukanie! Niestety i tu wypadki pokrzyżowały urzeczywistnienie tych wiekopomnych zabiegów w „oswobodzonej Galicji“.

Jeżeli od władz okupacyjnych uzyskano pewne subwencje na cele humanitarne Lwowa i kraju, było to zasługą głównie prezydenta Rutowskiego i wiceprezydenta dra Schleichera. Dr. Rutowski był dla Lwowa mężem wręcz opatrnościowym, który, dzięki swej odwadze cywilnej, taktowi i wysokiej kulturze, mimo intryg i denuncjacji, umiał pozyskać wpływ i powagę u władz rosyjskich, chociaż nie robił z tego tajemnicy, że był bezwzględny przeciwnikiem narodowej demokracji i o działalności p. Grabskiego wyrobioną miał opinię.

Zasługą też dra Rutowskiego było, że p. Grabski do swoich tak reklamowanych „chadajstw“, mógł sobie trzymać własnego konia, bo na równi z innymi ces. król. urzędnikami i profesorami austriackimi pobierał zaliczkę na pensję z kasy miejskiej.

Że w czasie okupacji Lwowa dr. Rutowski musiał pozornie liczyć się z „polityką“ pana Grabskiego wobec władz i udawać, że czasem korzystał z jego „wpływów“ — było zupełnie naturalnem. Mimo to i dla niego, jak dla wszystkich, cała ta polityka i swoboda działania, jakiej nie miał nikt poza panem Grabskim i jego najbliższymi — były czemś niepojętem, nad wyraz przykrem.

Zdawało się, że zagadka owej „lwowskiej polityki“ zostanie psychologicznie nierozwiązaną. Tymczasem mimochodem sam p. Grabski, za co należy mu się wdzięczność, odsłonił rąbek endeckiej tajemnicy. Oto jako urodzony „dyplomata“ wygłosił w Moskwie odczyt p. t. „Zadania i drogi polityki polskiej“ i wydrukował go w „Gazecie Polskiej“.

W numerze 80 z 28 marca 1917 r. tejże gazety między innemi czytamy dosłownie:

„Naprawdę zdecydowaliśmy się w razie wojny europejskiej stanąć frontem przeciwko Niemcom jeszcze w 1912 r. podczas wojny bałkańskiej“.

O takim postanowieniu kierowników narodowej demokracji, społeczeństwo galicyjskie, nie miało najmniejszej wiadomości. Oślonięto je przed niem największą tajemnicą, widocznie, aby mu tem większą sprawić niespodziankę.

Przytoczone przyznanie się ma nieocenioną wartość.

Rozjaśnia nam przedewszystkiem wiele zagadek „roboty“ narodowej demokracji przed wybuchem wojny. Stwierdza słuszność podejrzeń rusofilskiej propagandy.

Na jego dopiero tle charakterystyka działalności p. Grabskiego dziwnej nabiera plastyki.

Zestawmy tylko fakty!

Węc już w r. 1912 p. Grabski „zdecydował się“ z swoim stronnictwem stanąć na wypadek wojny po stronie caratu „frontem przeciwko Niemcom“. W myśl tego przygoto-

wuje teren, ale niezbyt ostrożnie, bo zaczyna budzić podejrzenie tak, że jak sam się przyznaje w r. 1913 różne dzienniki „piętnowały go jako moskalofila“. Wypiera się tego stanowczo i w r. 1914 po wybuchu wojny jest jednym z tych, którzy biorą wybitny udział w utworzeniu Naczelnego Komitetu Narodowego i wchodzi w jego skład. Godzi się na program tego Komitetu, t. j. na sojusz z państwami centralnemi „Staje frontem“ przeciw — caratowi. Uchwała tworzenie legionów, podpisuje gorące odezwy wzywające do walki z caratem, przyjmuje na się misję tworzenia legionu wschodniego, tworzy go, zbiera fundusze, pisze austro-filskie artykuły, zna wszystkie tajniki całej „roboty galicyjskiej“, a potem z okupacją Lwowa ogłasza się nagle przyjacielem caratu i rozpoczyna akcję wręcz tamtej wroga i destrukcyjną, ukoronowaną rozwiązaniem legionu wschodniego, wyparciem się całej poprzedniej roboty i całą skalą wszelkiego rodzaju politycznych koziołków i zygzaków!

Jak nazwać tego rodzaju postępowanie?

Czy to miała być uczciwa, prosta droga „narodowej polityki“? Czy „kierunek myśli politycznej“ i orientacji p. Grabskiego wymagały aż tego rodzaju w najwyższym stopniu przewrotnej, wstrętnej taktyki?

W tem właśnie, w tej niepojętej dla ogółu taktyce, godnej prowokatora, a nie poważnego polityka — tkwi cała tragedia „moralnych katuszy“, jakie przechodził Lwów w czasie

okupacji. W tej nieuczciwej, szalbierczej taktyce przewodców narodowej demokracji, a nie w jej programie, tkwi powód, że ta demokracja stała się dziś nieszczęściem i przekleństwem Polski.

Przytoczyłem niezbite fakty, których prawdziwość potwierdzi każdy mieszkaniec Lwowa. Dla naiwnych wolno p. Grabskiemu i jego przyjaciółom nazywać je kalumnjami, oszczerstwami i t. p.

Że te fakty „poniżają kierunek, który on reprezentuje“ — nie moja w tem wina. Kto takimi drogami politykę uprawia, ten i odpowiednie musi zbierać owoce. Publiczna sprawa — publicznej wymaga krytyki i p. Grabski może być pewnym, że Lwów wybuduje mu „pomnik wdzięczności“ w postaci całej biblioteki oświetlającej należycie „narodową“ działalność jego i jego przyjaciół.

Wszystko to w dalszym ciągu nie przeszkadza, że ci sami panowie, którzy w kraju zostawili za sobą pogardę, a uciekając nie zabrali ze sobą uczciwości, ci sami panowie, którzy wedle słów członka Rady Stanu p. Roztworowskiego „mieli tyle czelności, że podpisali protest przeciw niepodległości Polski“, teraz wśród emigracji znowu dalej próbują szczęścia. Zapomniawszy o „lwowskich sukcesach“ — sięgają po nowe. Za wszelką cenę starają się tu wypłynąć, aby ukryty osiągnąć cel. Z trabantów carskich, przemieniwszy się w partyzantów koalicji, wciskają się wszędzie, narzucają się na kierowników, przemawiają

„imieniem narodu“, wzywają do jedności pod swoją komendą, drogą krzykliwej agitacyi usiłują zawładnąć zdenerwowanem społeczeństwem...

To samo robili i we Lwowie.

I znowu ta sama powtarza się historia! Pozornie organizują, a w istocie rozkładają, tak, jak organizowali, a zarazem rozkładali lwowskie legjony i społeczeństwo galicyjskie. Rezultaty już są widoczne. Ów coraz większy zamęt i rozdwojenie wśród emigracji — to ich przeważne dzieło! Dwuletnie, niczem nie krępowane krzykactwo, zrobiło swoje, — niestety z wielką szkodą dla sprawy polskiej.

Do samowolnego reprezentowania narodu, „czynnej polityki“, do władzy, potrzebna im teraz siła zbrojna. Więc pod groźbą — kto nie z nami ten przeciw Rosji i koalicji, ci sami, którzy dotąd byli największymi przeciwnikami armii polskiej w Polsce, wzywają do tworzenia jej poza Polską, na to, aby tę Polskę zdobywać dla siebie, zdobywać powtórnie, bo za mało im jeszcze krwi i łez, zniszczenia i mogił, za mało Kaliszów i Tarnopolów, za mało jeszcze tak okropnych tragedji i kolizji, jak owa „Kalisz—Krechowce—Stanisławów“!

Ostatnia zwłaszcza tragedia — wystarcza sama, aby być groźnem memento przeciw tym, którzy w żywiołowych polskich formacjach armji rosyjskiej, chcą widzieć koniecznie „koalicyjną armję polską“, chcą ją mieć, aby była narzędziem ich własnej, samolubnej polityki.

W tym więc celu w szeregi, przejęte najczystszy patriotyzmem, myślące tylko o powrocie do kraju, o ratowaniu polskości na kresach, już w chwili ich tworzenia, wnoszą ferment tej polityki — tak, jak go wnosili w legiony lwowskie, z rezultatem, który po wieki zostanie ich hańbą!

Za pokrywkę służą im teraz hasła: „koalicja“, „zjednoczenie“, „poparcie kraju“, „polityka czynu“ i t. d. Gdy będzie trzeba — wymyślą jeszcze inne.

Że tego rodzaju „polityka czynu“ nie leży ani w interesie Polski, ani rewolucji rosyjskiej, że kraj tego nie chce — dowodem odezwa Rady Stanu z 14 lipca r. b. do Narodu, w której czytamy:

„Naród polski nie chce podsycać orgii międzynarodowych nienawiści, lecz pragnie stać się czynnikiem pokojowym, współdziałającym zakończeniu krwawych obecnych zapasów i zaprzecza komukolwiek na obczyźnie, po za granicami ziem polskich prawa szafowania krwią polską“.

Odezwa więc mówi dobitnie, że kraj pragnie się organizować, że nikomu nie chce się narażać, bo następstwa mogą być nieobliczalne.

Wszystko to mało obchodzi tych panów. W walce i w kreciej robocie przeciw rządowi polskiemu, który nie będzie ich endeckim rządem, połączą się z każdym sprzymierzeńcem, choćby z najskrajniejszym. Ich interes partyjny,

osłonięty patriotycznymi hasłami, wymaga paraliżowania polityki kraju! Im większy wywołają w nim zamęt, im skuteczniej przyczynią się do podkopania realnej pracy państwowo-twórczej, tem lepiej dla nich. Więc dążą do tego celowo, konsekwentnie, sprytnie i wytrwale, metodą nie cofającą się przed niczem z fanatyzmem godnym sekciarzy. Taniemi, lecz efektownemi hasłami, nie liczącemi się z realnym stanem rzeczy — torują sobie drogę, zyskują obalamuczone, dobrodusze rzesze.

Nie liczą się z tem, że „pracują“ równocześnie pour le roi du Prusse, że ów zamęt będzie przedewszystkiem na rękę Niemcom, że w tym względzie siłą faktów staną się ich sojusznikami.

Nikt przecież nie może przypuszczać, że Niemcy rozpoczęli wojnę i olbrzymie ponieśli ofiary na to, żeby oswobodzić i zjednoczyć Polskę, że ich rzekoma życzliwość dla sprawy polskiej i akt z 5 listopada — były, nie koniecznością polityczną, ale wpływem jakiejś ich miłości ku nam. Dla Prus akt ten jest już kulą u nogi, więc już dziś szukają pierwszego lepszego pozoru, aby go jeżeli nie unicestwić, to sprowadzić do minimum. Nie ulega wątpliwości, że mogą skorzystać z polskiego zamętu, aby mieć na zewnątrz powód i pokrywkę, że społeczeństwo polskie nie zasługuje na odrodzenie polityczne.

W ten sposób wypowiedanie wojny krajowi i jego chwilowym okupantom — przez

część Polaków z tej strony, może być wyzyskane przeciw wszystkim Polakom w Polsce i dwie polityki rzekomo przeciwne, niemiecka i międzypartyjna, podadzą sobie ręce do naszej dezorganizacji, do anarchji...

Jeżeli w tej wielkiej dziejowej chwili, partyjne hasła wezmą górę nad rozumem politycznym, jeżeli sprawa polska nie osiągnie tego, co jej przynieść może światowa zawierucha — będzie to zasługą „polityki” wszelkiego rodzaju pp. Grabskich.

Polskę grzebią znowu jej własni „patrijoci”, którzy chcą nią rządzić, choćby — na ruinach.

Liczą przytem, że w niedobitkach przywódców swej partji, pozostałych w kraju, znajdą drugich Grabskich, liczą w nim na nowych organizatorów destrukcyjnej polityki i na wiernych pomocników do podjęcia zamierzonego celu. Więc podobnie jak „sztuczne paniki”, potrzebne im są teraz „sztuczne demonstracje”, jako „żywiotowe wybuchy nastroju szerokich mas”. Starają się o nie i tu i tam, a że społeczeństwo zapłaci za to, że naraża je na nieobliczalne ofiary, że niejedno zmarnują życie — to dla nich rzecz podrzędna. Zapłatą będzie zadowolenie i poklask panów z Lozanny no i — koalicji.

I wszystko to robi nieliczna tylko grupa i znajduje takich, którzy, w najlepszej często wierze, ślepo idą za nią i darzą ją zaufaniem.

Dowodem tego „wielki zjazd” narodowo-

demokratyczny w Moskwie, który ocenił jej „zasługi“ dla sprawy polskiej, bo całą prawie tę grupę powołał do swej Rady, mającej być niby „rządem narodowym“. Szczególniejszego jednak uznania doczekał się p. Grabski. Widocznie w dowód wdzięczności, za jego dotychczasową tak znakomitą polityczną i dziennikarską działalność we Lwowie i na emigracji, zjazd ów wybrał go na „kierownika wydziału spraw zewnętrznych i prasowego“!

Polsko ciesz się — dyplomację Twoją przeciw Tobie — oddano w ręce „doświadczonego“ ministra!

Zaiste — *difficile est satiram non scribere*, historia jednak straszny kiedyś wyda sąd...

Wiem, że poruszyłem gniazdo szerszeni, od których wszystkiego spodziewać się można. Pewny jestem, że, za odsłonięcie szczerzej prawdy, wcześniej czy później ściagnę na siebie gromy i kalumnie wszelkiego rodzaju — czekam jednak spokojnie.

Spełniłem obowiązek obywatelski — nie tylko dla informacji społeczeństwa na emigracji, ale i jego przestrogi.

Przeszłość niech będzie drogowskazem dla — przyszłości.

Petersburg 1 (14) sierpnia 1917.



667/3/80

40-

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000202443



II 518498